

Barbara Koterwas

Latarnia

Lublin 2000

Ośrodek Brama Grodzka - Teatr NN
Norbertinum

Spis zawartości pliku:

Dzieciństwo na Bronowicach, choroba

Szkoła

Okupacja

Dzieciństwo na Bronowicach, choroba

Do siódmego roku życia bawiłam się beztrąsko z rówieśnikami.

W ósmym roku zaczęły się bóle kręgosłupa. Ataki powtarzały się parę razy na tydzień. Temperatura dochodziła do czterdziestu stopni. Trwało to kilka lat. Najgorsze były ranki, po południu bóle mijały, temperatura opadała, wracał humor. Choroba robiła postępy odbierając władzę w nogach. Lekarze nie rokowali poprawy. Moja Matka wierzyła w siły ozdrowieńcze słońca i powietrza. Aby wykorzystać każdy promyk słońca przesuwała moją leżankę od okna do okna. Wierzyłam, że wrócę do zdrowia. Czekałam.

Lubiłam widok z okna na zachód. Na pierwszym planie olbrzymie łąpiany, za nimi ciągnące się daleko łąki i piękna panorama Lublina z licznymi wieżami i wieżyczkami kościołów, których dzwony słycać było doskonale aż tutaj.

Nie nudziłam się. Z pasją obserwowałam ludzi. Patrzyłam. Słuchałam. Zastanawiałam się, jak zachowa się za chwilę człowiek przeze mnie obserwowany. Miałam swoje sympatie. Budowałam własny świat. Czasem ten i ów przystanął przy oknie, aby ze mną pogwarzyć, odpowiadałam krótko, jasno, zdarzało się, że dowcipnie. Nieraz usłyszałam głośno wypowiedaną opinię: „Nasza Basiunia nie jest całkiem głupia”. Szukałam sposobu przekonania wszystkich, że bezwład nóg to nie zanik mózgu.

Matka nie pozwalała mi wdawać się w dyskusje z dorosłymi. Tłumaczyła: „Dziewczynka dobrze wychowana nie może zaprzeczać dorosłym”. Wcale nie chciałam być dobrze wychowana. Tłumiłam wewnętrzny bunt, żeby nie robić przykrości Matce. Pod drugim oknem, które wychodziło na podwórko, przystawały sąsiadki. Te wydziwiałały: „Jakie to chude!”. Albo zastanawiałały się: „Za czyje grzechy...” i rokowały: „Nasza Basiunia już tylko patrzeć...” - pobożnie przy tym spoglądały w niebo. Kiedy szły załatwiać coś ważnego, wyciągały rękę i prosiły: „Basiuniu, pomocaj na szczęście!”. Lubiłam występować w roli dobrej wróżki.

Nie pamiętam, skąd się wziął młody lekarz, pan Szulc, Poleciał gimnastykę i masaże, aby nie zanikły mięśnie. On jeden zapewniał: „Wstaniesz i będziesz chodzić”, a po chwili dodawał: „Trzeba silnego wstrząsu nerwów. Tylko wstrząsu”. Przychodził kilka razy w tygodniu, klepał, masował. Interesowało go, jak spałam, co jadłam, jaki mam humor. Cieszył się, że już czuję, którą stopę mi drapie. Poprawiłam się. Wysoka temperatura występowała rzadziej.

Podczas choroby zdarzyło mi się przeżyć chwilę grozy. Pod moim oknem dwu pijanych mężczyzn zaciekle się biło i szarpało. Jak zwykle w takich wypadkach zamknęłam oczy i już. Wtem zatrzęsło się i posypało! Otworzyłam oczy. Spojrzałam. W ścianie po łokcie tkwił człowiek. Uwięziony złorzeczył i szamotał się, usiłując wydostać z matni. Ściana trzeszczała. Wznosiły się tumany kurzu. Wszystko w mieszkaniu pokrył pył. W oczach, w zębach kurz. Wreszcie, przy ogólnej wesołości zebranych gapiów, wyciągnięto go. Wyrwa w lepiance wzbudziła

zainteresowanie. Zebrani mężczyźni opukiwali, obmacywali ścianę, walili pięścią dookoła otworu. Dziurą wbiegł pies. Obwąchiwał dokładnie kąty i sprzęty. Matka, wracając, miała zwyczaj zagadywać do mnie przez okno od podwórka. Tym razem zobaczywszy zbiegowisko, zwałisko i psa, krzyknęła. Piekło! Pies ujadając szczyrzył zęby to na mnie, to na Matkę w oknie. Żadne „pójdziesz!” i „do budy!” nie odnosiły skutku. Pies czuł się osaczony. Szukając wyjścia wielkimi, zamaszystymi susami wzniecał kurz. Ktoś znający zwierzaka zwabił go wreszcie do otworu w murze. Do dzisiaj boję się wilczurów, A dziura? Właściciel domu, pan Antoni Okoń, przyniósł glinę, wymieszał z wodą, a zarzucając otwór wciskał w papkę kawałki drewna, klepał i muskał z przejęciem, wreszcie obielił front domu i na wieczór było po remoncie.

Najgorzej było ze tym wstrząsem. Po pijaku w dziurze i przygodzie z psem Matka z sąsiadką usiłowały postawić mnie na nogi. Nie udało się! Trzymana pod ramiona „przebiekałam” przez ręce. Śmiałam się histerycznie i miały kłopot z położeniem mnie do łóżka. To jeszcze nie był ów oczekiwany wstrząs.

Zaczęli działać życzliwi. Nawiedzały mnie duchy w prześcieradłach, zjawy ze świeczką wstawioną w środek dyni, a mój lekarz zaimprovizował pożar - jakaś kombinacja z magnezji i dużo dymu. Wspaniały człowiek, ale zdolności aktorskich to on nie miał. Grał przerażonego tak śmiesznie, że zamiast się zląknąć, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Główny aktor śmiał się ze mną.

Prawdziwy wstrząs przeszedł niespodziewanie. Któregoś dnia ojciec wrócił do domu pijany. Nie bałam się, nie było to nic nowego, zdarzało mu się często. Po wódce nigdy nie wszczynał awantur. Przeciwnie, był wylewny i zawsze rycerski. Byłam w domu sama. Chciał podejść do mojej leżanki, stracił równowagę, zatoczył się i leciał wprost na mnie. Chciałam krzyknąć, ale strach ścisnął mi gardło, oblał mnie zimny pot, zamknęłam oczy czekając, kiedy swoim ciężarem połamię mi kości. Nie zgniótł mnie. Oparł się ręką o ścianę. Byłam ocalona. W całym ciele poczułam przyjemne mrowienie. Na drugi dzień Matka wybiegła na podwórze do płaczącego Zdziśka, mojego młodszego brata. Zobaczyłam, że stojące na płycie mleko zaraz wykipi. Zapomniałam o swoim bezwładzie. Zerwałam się z łóżka.

Matka zastała mnie stojącą bezradnie. Zrobiłam krok w jej kierunku. Zupełnie wyczerpaną zaniósł mnie na leżankę. Radość była nie do opisanania! Lekarz kazał opowiadać sobie kilka razy, jak to było. Nie wiem kto z nas wtedy był najszczęśliwszy -Matka, lekarz czy ja. Po ośmiu latach mój pierwszy krok w nowe życie! Był to dzień 4 lipca 1928 roku. Długo trwał powrót do całkowitej sprawności fizycznej. Doktor Szulc nie pokazał się więcej. Szukałam go przed wojną i po wojnie wędrując z moimi teatrami. Przemierzając Polskę pytałam w każdej napotkanej aptece, szpitalu, szukałam w książkach telefonicznych, w miastach i miasteczkach. Nikt nie uwierzy, ilu spotkałam Szulców. Ale mojego nie znalazłam...

Szkoła

W trosce o mój rozwój umysłowy Matka zapraszała dzieci w moim wieku, aby u nas odrabiali lekcje. Taka zabawa w szkołę. Nasi goście opowiadali, o czym pani w szkole mówiła i co zadała. Matczysko dbało o to, abym pierwsza wypowiadała się na temat zadanych lekcji. Rozwiązywałam zadania, dyktowałam wypracowania domowe - różne dla trzech dziewczynek. Chętnie przechodziły. Po odrobieniu lekcji dostawałyśmy smakołyki: owoce, kisiel, karmelki. Po odejściu dziewczynek Mama czytała, co było zadane do opanowania pamięciowego, ja opowiadałam. Powtarzając za Matką uczyłam się wierszy, gramatyki, przyrody, geografii. W ten sposób przerobiłam program siedmiu klas szkoły powszechnej. Sama nie czytałam. Lekarz zabronił - temperatura, wzrok - nawet rysować mi nie pozwolił. A miałam piękne kredki ołówkowe, prezent od ciotki. Czytać nauczyłam się jeszcze przed chorobą od starszych dziewczynek, które z ciasnych mieszkań wychodziły na podwórko odrabiać lekcje. Pisały kłęcząc przy stołku, albo siadały na progu sieni i czytały z książki trzymanej na kolanach.

Okupacja

Po lewej stronie szosy zamojskiej, tuż za przejazdem kolejowym, gdzie teraz osiedle mieszkaniowe Bronowice II, mieściła się fabryka samolotów „Plage i Laśkiewicz w Lublinie” z licznymi hangarami i ogromnym lotniskiem.

Obiekt ten, we wrześniu 1939 roku, Niemcy zamienili na wielki obóz jeniecki, w którym koczowało tysiąc polskich żołnierzy. Wziętym do niewoli nie dawano jeść. Widziałam setki rąk sięgających między drutami kolczastymi po kromkę chleba, gotowany ziemniak, czy kubek mleka. Stałam bezradna. Skąd wziąć naczynia, aby rozlać przyniesiony w bańce krupnik? Wygłodzeni żołnierze podawali liście łopianu, kawałki starych gazet, niektórzy po prostu nadstawiali dłonie, bez słów. Niemcy zabrali Polakom nie tylko broń, ale cały żołnierski ekwipunek: koce, menażki, przybory do golenia i pisania.

Wartownicy obwieszani granatami, rozstawieni co parę kroków, nie pozwalali zatrzymywać się przy ogrodzeniu, odpychali kolbami karabinów mniej sprawnych, strzelali w górę i wrzeszczeli. Ludzie stali spokojnie po obu stronach ogrodzenia. Tuż pod bokiem strażników przemycano

wiktuały. Należało szybko podejść do ogrodzenia, podać zawiniątko i wrócić jak odbita piłka. Przy większych pakunkach, jak marynarka, sweter, koc, na chwilę rozsuwano kolczaste druty, przesuwno paczkę, którą wraz z obdarowanym wchłaniał tłum kolegów. Wracalam bez bańki. W głowie zamęt - nie mogłam uporządkować myśli. Czym nakarmić głodnych? Skąd wziąć tyle naczyń? Jak podać ołówki, kartki, chcącym powiadomić rodziny.

Pomógł mi przypadek. Znalazłam okrągłą pieczęć szkoły z godłem Polski. Naszyłam na opaskę czerwony krzyż i przybiłam pieczęć tak, że orzeł i „w Lublinie” były wyraźne. Nazwę szkoły poruszyłam na wypadek gdyby któryś z Niemców znał nasz język. W parę minut po moim powrocie spod drutów z młodzieży naszego podwórka powstał zespół gotujących zupy. Zofia Gilarowska, Anna Laskowska, Zofia Świstak, Krystyna Witkowska, Romana Zwiślak, Mieczysław Panas i inni, których nazwisk już nie pamiętam.

Gotowaniem zajęła się moja Matka. U sąsiadki, pani Panasowej, znalazł się kocioł o pojemności trzech wiader. Na długo w naszej kuchni zrobiło się tłoczno i gorąco. Gotowałyśmy na trzy zmiany, każdego dnia zanosiliśmy głodnym dziewięć wiader gęstej zupy. Domowe zapasy wyczerpały się w parę dni. Jednak do zaopatrywania nas w produkty żywnościowe poczuli się prawie wszyscy mieszkańcy w domu przy placu Bychawskim 11. Przynosili mąkę, kaszę, groch i wszelki suchy prowiant. Często zdawało się, że następnego dnia nie będzie co włożyć do kotła, ale ludzie dostarczali nowe zapasy. Także ludzie spoza naszej posesji. Na przykład pan Sagan, właściciel masarni, wypytał dziewczyny idące z wiadrami zupy, co niosą, dla kogo, skąd idą i zaraz przyniósł pięciolitrową blaszankę szarego smalcu, zbieranego z „rosołu”, w którym gotowano uwędzoną wędlinę. Już nie martwiłam się o omastę do żołnierskiego jada.

Warzyw ciągle było mało. Znalazłam wyjście, wprawdzie niepiękne, ale najłatwiejsze - sięgnąć po cudze. Po drugiej stronie naszej ulicy stał parterowy domek, za domkiem - ogród warzywny. Zosia G. wypatrzyła którądy najbezpieczniej się tam dostać. Idąc na rabunek rozgrzeszałyśmy się wzajemnie, że cel uświęca środki, robimy to nie dla zysku, a dla głodnych. Od łąki zrobiłyśmy pod siatką podkop, przez który wpełzałyśmy, aby po omacku wyrywać co popadło. Nasz strach i wyczyny okazały się niepotrzebne. Po paru dniach przyszedł do nas pan Jasiński, właściciel warzywnika. Na mnie ścierpła skóra. Nie zauważył mojego zmieszania, zwrócił się do nas serdecznie: „Przychodźcie po kapustę, marchew, buraki mam piękne. Biercie, ile trzeba. I tak jakiś łobuz buszuje w nocy po ogrodzie - zwierzał się ogrodnik - pilnuję z pałą do północy, ale łotrzyk nie boi się patroli niemieckich”. Ominęła nas pała, bo wyprawy po warzywa odbywały się po ugotowaniu trzeciego kotła, a więc przed czwartą nad ranem.

Nie opuszczało nas zmartwienie, skąd wziąć naczynia. Rozdałam nasze i darowane kubki, miski

i kompotierki - wszystko mało. Mietek Panas wpadł na pomysł, żeby porobić naczynia z blaszanych opakowań po herbacie, landrynkach i konserwach. Mali chłopcy zbierali puszki i pudełka, Mietek dorabiał uchwyty jak u wiader. Dostarczali tych naczyń dwadzieścia i więcej dziennie. Ciągłe za mało. Na lotnisku znajdowało się kilkanaście tysięcy ludzi. Mrowie. Aby dostarczyć zupę na teren obozu, założyłam na ramię opaskę Czerwonego Krzyża i tak stanęłam przed wartownikiem.

Przyjrzał mi się, zajrzał do wiader - zapachniało. „Gut” - powiedział. Weszliśmy na teren obozu. W parę sekund otoczył nas zwarty pierścień żołnierzy. Matka odmierzała czerpakiem zupę, ja zabezpieczałam kolejne wiadro. Głodni tak napierali, że moje kolano przedarło papier zakrywający zupę i utkwilo w gorącej grochówce. Nie mogłam się ruszyć aż do wyczerpania zawartości pierwszego wiadra.

Nie tylko my dostarczaliśmy pożywienie jeńcom. Mieszkańcy Lublina i okolic nieprzerwanym strumieniem nieśli kosze, bańki, dzbanki, ubrania cywilne, paczki i paczuszki. Ten pochód sunął od świtu do zmroku. Najgorsze była świadomość, że te zbiorowe starania nie zaspokajają głodu ludzi za drutami.

W obozie wybuchła czerwonka. Dostarczałam teraz nie tylko opatrunki i maści, ale także leki przygotowane przez farmaceutów lubelskich. Panie z jakiegoś majątku przywoziły wiadrami tarte jabłka, mieszkańcy Lublina podawali przez druty różne leki. Mimo to groźna choroba zataczała coraz szersze kręgi. Chorzy nie mogli iść o własnych siłach. Wycieńczeni padali na drodze do latryn. Co dzień przybywało ludzi leżących na gołym betonie. Wszyscy byli wygłodzeni. Śmierć zabierała parę osób dziennie. Kiedyś, gdy wracałam do domu, już na podwórku, nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Rozplakałam się.

„Czego to płacze?” - usłyszałam obok siebie głos Zawiślaczki. Wyszła na ganek, aby jak każdego wieczora stwierdzić: „Jutro jak nie będzie dyszcu, to pogoda zapowiada się słoneczna”. Była to stara kobieta, trudniąca się sprzedażą zbieranych przez siebie ziół. Opowiedziałam jej o czerwonce w obozie jeńców i bezskuteczności leków. Zielarka zamyśliła się. „Nie trzeba płakać. Dam końskiego szczawiu. Zaparzyć, niech piją. Jak ma przejść, to przejdzie” powiedziała, a po chwili wyniosła ogromne naręcze suchego zioła.

Gotowałyśmy ziele-cud! Przywracało ludziom zdrowie. Nie było już zgonów. Wanda parzyła koński szczaw, ja zorganizowałam grupę ludzi zbierających jesienne badyle tej cudownej rośliny.

Od tego czasu zaczęłam poznawać, zbierać i suszyć zioła. Pod koniec lat pięćdziesiątych w gazetach codziennych ogłoszono: „zielarzy, znachorów i innych szarlatanów będzie się ścigać”. Tego dnia spaliłam wszystkie zioła, zlikwidowałam ramy do suszenia roślin. Nazajutrz przyszli dwaj panowie i milicjant. „Mamy donos, że pani leczy ziołami” powiedzieli, pokazują mi artykuł.

„Czytałam i zgodnie z zarządzeniem spaliłam swoje zapasy ziół”. Pobieźnie sprawdzili. „Może pani chce wiedzieć, kto przeskarżył?” - „Nie, nie chcę”. Poszli.

Opaska Czerwonego Krzyża nakładała obowiązki. Żołnierze ufnie obnażali swoje okaleczenia, uskarżali się na ból, oczekiwali pomocy. Wracając z lotniska, zamienionego na obóz jeniecki, weszłam do apteki na ulicy 1-go Maja i oznajmiłam wprost: „Naszym żołnierzom potrzebne są lekarstwa i opatrunki. Proszę przygotować. Będę rano szła do obozu, zabiorę”. Padło pytanie: „Przepraszam, czy siostra jest z lubelskiej kolumny PCK?” - „Nie jestem siostrą. Mam opaskę, dzięki której mogę wchodzić za druty”.

Tak się zaczęła moja współpraca z mgr. Janem Migurskim. Odtąd codziennie zabierałam paczki z medykamentami, których wciąż było mało. Pewnego razu na terenie obozu podeszła do mnie szesnastoletnia dziewczyna. „Zobaczyłam siostrę z opaską i zgłaszam się, może się przydam”. Była to Wanda, poznanianka, znała dobrze język niemiecki. O nazwisko nie pytałam - szkoda. Udekorowałam ją opaską z czerwonym krzyżem. Teraz byłyśmy dwie.

Wanda zauważyła, że jeden z hangarów ma ścianę murowaną z cegły „na kant”. Żołnierze zrobili w niej otwór. Dziurę zamaskowali szafą biurową z rozsuwanymi plecami. Przejście wychodziło na tory kolejowe przy ulicy Łęczyńskiej, skąd droga była wolna. Z zamaskowanego przejścia mogli skorzystać ci, którzy mieli cywilne ubrania. Kobiety, ryzykując życiem, przynosiły pod druty nie tylko żywność, papierosy, mydło, ale i odzież. Wanda nie opuszczała obozu. Bała się, że nie wejdzie z powrotem. Miała tylko tę opaskę, żadnych dokumentów. Ta dziewczyna pomysły miewała, zdawałoby się, nierealne. Wtedy Niemcy jeszcze nie prowadzili ewidencji, a zespół wartowniczy zmieniał się co parę dni. Dzień wymiany strażników, to był najdogodniejszy czas na różne śmiałe poczynania.

Wanda „wysprechała” zgodę na przewożenie chorych żołnierzy do szpitala. Pierwszy napotkany przeze mnie woźnica zgodził się transportować chorych. Założył opaskę Czerwonego Krzyża i wjechaliśmy na teren obozu. Po pierwszym nastąpiły dalsze transporty. Wanda pilnowała „porządku”. Na podłodze platformy ciasno kładli się zdrowi żołnierze, na wierzchu ranni i chorzy potrzebujący pomocy lekarskiej. Ja siedziałam zwykle na koźle obok woźnicy. Kiedyś zagadałam do niego: „Szczęśliwie się złożyło, że był pan na postoju ze swoimi końmi”. Woźnica na to: „Siwek to mój, a drugi koń, sprzężony z moim, to kolegi, a wóz zamieniliśmy z jednym furmanem, bo większy. Konie nakarmione. Ja jeżdżę, bo znam chody. I tyle.” Woźnica, Jan Gnypek, nie przypadkiem stał z platformą za rogiem. Niemcy nie wtrącali się do przewozu chorych -panicznie bali się „zarazy”.

Opaskę z czerwonym krzyżem wykorzystywałam wiele razy i w różnych okolicznościach. 28

września 1939 r. usłyszałyśmy zupełnie blisko strzały. Gdy kule przestały gwizdać, Wanda została w obozie, a ja wzięłam torbę z opatrunkami i pojechaliśmy z Gnypkim. To oddział Polaków bił się z Niemcami na polach Wólki Lubelskiej. Chcieli odbić z obozu jeńców. Gdy przyjechałyśmy, Niemcy zabierali swoich zabitych, naszym kopano groby koło szosy. Trzej ranni Polacy zostali otoczeni opieką mieszkańców wioski. Wtedy poznałam tamtejszą nauczycielkę Małgorzatę Szewczykównę - człowieka o wielkim rozumie i czułym sercu. W czasie okupacji łączyła nas służba, a do dziś cieszę się jej przyjaźnią. Właśnie Gosia udzieliła wtedy rannym pierwszej pomocy. Odwieźliśmy ich do szpitala ss. Szarytek. Gosia ich tam odwiedzała. Jeden z nich. Konstany Płatkowski, student politechniki, miał siedem ran, mówił o małym synku. Zmarł. (...).

Dowiedziałyśmy się, że na pierwszym piętrze, w pomieszczeniu biurowym, więzionych jest kilku oficerów. Nie wiem, skąd Wanda miała klucz, dość, że trzeba go było podłożyć na górę. Według umowy ona zajęła rozmową strażnika, ja zaniósłam na górę klucz i położyłam go wraz ze szkicem obozu, w szparę pod drzwiami pokoju więzionych. Moja wędrówka nie uszła uwadze pilnującego. Do przebycia miałam trzy schodki, gdy Niemiec odwrócił się i wrzasnął; „Halt!”. Udałam, że chciałam iść na górę. Tłumaczyłam, że nie widziałam dużej tablicy z napisem: „Kto wejdzie na górę, będzie rozstrzelany”. Nie przekonałam go. Popychana, szybko znalazłam się na wartowni, gdzie pewnie i stanowczo przekonywałam o swojej niewinności, ciągle powołując się na opaskę Czerwonego Krzyża. Dwaj Niemcy odrzucali mnie od siebie, jak piłkę, trzeci spokojnie przyglądał się zabawie. Wreszcie powoli podszedł do piecyka - żelaźniaka, wyjął pogrzebacz tkwiący w rozżarzonego węgla, wydawało mi się, że się uśmiechnął - chwycił moją rękę i rozpalony koniec pogrzebacza przycisnął do jej wierzchu. Zasycało i zadymiało swądem ostrym, duszącym ... Pogrzebacz nie przeszedł na wylot, zsunął się z dłoni (odtąd mam głęboką bliznę na wierzchu prawej ręki). Coraz mocniej powtarzałam: „Ich bin Rot Krauz”. Zostałam wykopana za drzwi. Pusto. Ciemno. Nie wiedziałam, co z Wandą. W głowie szum. To ręka! Nie krwawi. Czarny strup. Nie boli. Majaki. Tysiące myśli. Wtem zobaczyłam Niemca, szedł na wartownię. Otrzeźwiałam.

Uśmiechnęłam się, jakbym właśnie coś pomyślnie załatwiła, bo na wartowni zgłaszało się rozmaite sprawy, kierowanie do szpitali chorych żołnierzy polskich, każdorazowe otwarcie bramy, pozwolenie na zasypanie jednych i kopanie drugich latryn. Bramę obozu przeszłam bez przygód i nadziei powrotu. Na ulicy spotkałam jednego z niedawno uwięzionych na piętrze oficerów, Stefana Jędrzejewskiego. Mówił, że skorzystali z podrzuconego klucza i planu, wszyscy opuścili obóz przejściem w szafie. Szczęśliwie dotarliśmy do domu. Dziewczęta przy kotle z zupą na jutro. Domownicy siedzieli przy stole, na którym paliła się mała świeczka. Mroczno, duszno. Wszyscy jak na komendę zwrócili oczy w naszą stronę. Pytali, co się stało. „Nic. Ten pan z obozu” - odpowiedziałam. Mój towarzysz miał na sobie dopasowany oficerski mundur. Ktoś podał mi

lusterko. Byłam zupełnie żółta. Białka oczu jak płatki szafranu. Ze strachu dostałam żółtaczki. Taka to jestem odważna.

Przez całą okupację niemiecką pełniłam służbę w łączności Armii Krajowej. Wysyłano mnie w teren, nawet do dwudziestu razy w miesiącu. Było to możliwe dzięki pracy z zakładzie krawieckim Adolfa Adamczyka przy Bernardyńskiej 12. Pieczętka zakładu zabezpieczała przed wywiezieniem na roboty do Niemiec. Podczas moich wojaży koledzy krawcy przyszywali za mnie guziki, pikowali klapy, wciągali fastrygę - czynności te należały do moich obowiązków. Majster „nie zauważał” mojej nieobecności. Nikt o nic nie pytał. Tak było lepiej.

Na początku 1942 roku okupant zajął nasz warsztat. Dziesięciu krawców i ja, pomoc krawiecka, musieliśmy szyc ubrania cywilne tylko dla Niemców. O zwalnianiu się nie mogło być mowy. Wkrótce warsztat przeniesiono na Krakowskie Przedmieście 30. Nowy lokal miał małe pomieszczenie na pracownię. Tę sytuację wykorzystał nasz mistrz Adamczyk, Narzekał na ciasnotę, gderał, przesadzał ludzi. Mój stołek wędrował z kąta w kąt, wszędzie przeszkadzał. Nieustająco trwała dyskusja, gdzie mnie posadzić. Wreszcie nasz majster przekonał Niemca, że najlepiej opłaci się wydawać mi robotę do domu. Odtąd koledzy krawcy szyli za mnie kamizelki. Trwało to ponad dwa lata, do końca okupacji. Koledzy zabierali robotę do domu, bo w warsztacie szył z nimi brat Niemca, obecnego „właściciela”, a ten miał oczy i uszy otwarte, ciągle węszył. Do dziś nie wiem, komu personalnie zawdzięczam tę koleżeńską pomoc.

Wydaje się, że wykonywanie zadań powierzonych kurierowi, to pokonywanie niebezpieczeństw i zasadzek, dających pole do czynów bohaterskich. Nie zdarzyło mi się być w sytuacji, w której mogłabym wykazać swoją odwagę. Nie przewoziłam, jak moja Matka (także kurierka), rzeczy ciężkich np. podręczników dla leśnej podchorążówki, części metalowych, jakichś zaworów, drutów, aparatów. Matka przewoziła kiedyś całą stację krótkofalową. Zamaskowanie i przewiezienie takiego bagażu wymagało pomysłowości, sprytu, opanowania, odwagi i siły fizycznej. W razie przechwycenia przesyłki przez Niemców nie było ratunku -gestapo albo cyjanek. Moje zadanie polegało na doręczeniu tekstu drobniutko pisanego na bibułce japońskiej, cieniutkiej, lekkostrawnej. Przesyłka ta nie mogła wpaść w niepowołane ręce. W razie niebezpieczeństwa czy niemożliwości doręczenia należało połknąć maleńki płatek. (...) Wszystkie przekazywane za moim pośrednictwem rozkazy udało mi się dostarczyć na czas.

W lutym 1942 roku dostałam rozkaz opanowania wiadomości zawartych w „Podręczniku podoficera sanitarnego”. Z zapalem wzięłam się do nauki. Przejęta zadaniem nauczyłam się na pamięć całych rozdziałów książki. Według rycin bandażowałam w kłosek, zakładałam uciski i szyny. Po przerobieniu podręcznika miałam świadomość, że mogę uśmierzyć ból. wydawało mi

się, że teraz potrafię zapobiec każdemu cierpieniu. Ufna we własne siły zgłosiłam się jako sanitariuszka. Marzyłam o włączeniu do walczącego oddziału leśnego. Zawód. Po sprawdzeniu wiadomości, skierowano mnie na dalsze szkolenie. Edukacja przypadła akurat na czas, kiedy wysiedlono nas z pl. Bychawskiego 11 do kościoła św. Pawła. Nie tylko tam znaleźli się wysiedleńcy. Lokatorów miał także najcenniejszy jako zabytek, kościół oo. Dominikanów. W pierwszy dzień po Wielkanocy 1942 r. Niemcy wtoczyli do świątyni około stu rodzin. Naszą posesję potraktowano „łagodnie”, pozwolono zabrać wszystko w czasie jednej godziny. Jak większość Polaków za okupacji byliśmy spakowani i gotowi do opuszczenia swego domu z ręcznym bagażem.

Nie wiem, skąd wzięły się furmanki chłopskie, na które ładowaliśmy dobytek. Każda rodzina dostała jedną taką furkę, bez względu na ilość osób i sprzętu. Byliśmy pewni, że przesiedlają nas na wieś, a tymczasem wozy zatrzymały się przed kościołem św. Pawła. Pilotujący nas Niemiec wrzeszczał, śmigał pejczem na prawo i lewo. Bił na oślep. Piekło. Mimo jego wrzasków i razów nikt nie śmiał wnieść swoich gratów do kościoła. W kruchcie stanął ksiądz w komży, z niewielkim krzyżem w ręku. Szwab znieruchomiał. Ucichło. Słyszałam tylko własne serce.

Kapłan uniósł krzyż w górę i poważnie przemówił: „Pójdźcie do mnie wszyscy...”. Płacz, niesamowity lament zagłuszył dalsze słowa. Nikt się nie ruszył z miejsca. Duchowny spokojnie podszedł do furmanki z dobytkiem Błazewiczów, wziął stołek szewski i wniósł do kościoła. Zamieszkaliśmy w lewej nawie, przy pierwszym ołtarzu, razem z trzema rodzinami. Było tłoczno. Przycupnęliśmy. Spakowani, zawsze gotowi do drogi. Mimo wiosny na ścianie szron. Zimno. Nie mogłam odejść, aby u znajomych ogrzać się trochę i zjeść. Mimo przesiedleń praca w konspiracji trwała nieprzerwanie. Moją Matkę wysłano w teren, jeszcze nie wróciła. W każdej chwili i do mnie mogła przyjść łączniczka z rozkazem, a ta nie mogła błędzić. Siadłam na tłumokach i obserwowałam wchodzących. Jedni szukali bliskich, inni wypytywali, przynosili jedzenie, zapraszali do domów, zabawiali dzieci, pocieszali. Zdarzali się i tacy, których gorszyły palące się prymusy, rozwieszane pieluchy, okopcone garnki i rozgrzebane posłania. Trudno jednak było utrzymać jaki taki ład. Ciągłe wszyscy czegoś szukali i na nowo przepakowywali.

W drugim dniu pobytu w świątyni, panie z RGO przywiozły na wózku dzieciennym kociołek gorącej zupy. Zapachniało kapuśniakiem jak kadzidłem. Ludzie szybko wygrzebywali się z otuleń, aby zająć miejsce w kolejce. Stałam z kubkiem. Zabrakło zupy. „Jutro przywieziemy dwa kotły” - obiecały panie. Nie czułam głodu. Było mi zimno. Zająłam swoje miejsce na tłumokach. Wśród wchodzących zauważyłam panią wyróżniającą się niepospolitą urodą. Było w niej wiele ciepła, prostoty, ujmującej dobroci, stroskania. Nieznajoma chwilę szukała wzrokiem i podeszła wprost do mnie, podała garnuszek i zachęciła: proszę zjeść, rozgrzać się, to dla pani nie wystarczyło zupy,

prawda? Przyniosłam z domu, gorącą. Zimno tutaj”. Tak poznałam Danutę Magierską. Odtąd, spotykając się na ulicy, wymienialiśmy kilka grzecznościowych zdań.

Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że w czasie okupacji Danuta Magierską była Komendantką Chorągwi Lubelskiej Szarych Szeregów i zajmowała kierownicze stanowisko w Wojskowej Służbie Kobiet Armii Krajowej. Czy mogłam przypuszczać, że ta poważna, spokojna, zawsze opanowana znajoma z kościoła to właśnie mój dowódca. W konspiracji nikt nikomu się nie zwierzał, ani przyznawał do jakiegokolwiek działania. Po wojnie nasza znajomość przerodziła się w przyjaźń. Danusia jest odtąd przy mnie w różnych sytuacjach życiowych; służy radą, a w chorobie troskliwie pielęgnuje. Parę tygodni dyżurowały na zmianę z Małgorzatą Szewczykówną przy łóżku ciężko chorej mojej Matki, była także przy Jej śmierci. Zmiana adresu nie przeszkadzała w podziemnych działaniach.

Na tajne ćwiczenia z ratownictwa i pielęgniarstwa biegałam około pięciu kilometrów za miasto, pod wieś Głusk. Nie wiem, skąd były dwie młode panie, z którymi stanowiłam komplet. Zajęcia prowadziła harcerka - doktor Kazimiera Litwiniukowa, obdarzona wyjątkowymi zdolnościami pedagogicznymi. Bez zbędnej gadaniny uczyła rzeczowo, jasno i ciekawie. Stawiałyśmy bańki, robiłyśmy zastrzyki, opatrywałyśmy rany, myłyśmy ciężko chorych i zmieniałyśmy bieliznę. „Ćwiczyłyśmy” transport rannych, wyjaławiałyśmy narzędzia i środki opatrunkowe i bandażowały, bandażowały, bandażowały. Pani doktor uważnie śledziła każdy ruch, tłumaczyła celowość i wagę wykonywanych czynności, łagodnie, cierpliwie, z uśmiechem. Imponowała mi spokojem. Nie bała się. Nie widziałam jej także zmęczonej czy sennej, a zajęcia trwały dwie doby. Umiała zaciekawić ćwiczeniami, utrzymać tempo. Nie pragnęłyśmy choćby małej przerwy na odpoczynek czy sen. Posiłki dietetyczne przyrządzałyśmy same. Dla mnie utrapieniem było ćwiczenie „karmienia i pojenia chorego”. Wolałabym już nic nie jeść przez dwa dni, niż być karmiona. Albo mycie. Utkwiła mi w pamięci kursantka, która na mnie ćwiczyła. Pani ta pozowała na damę. Niezręcznie i ślamazarnie ćwiczyła „mycie chorego w łóżku”. Na uwagi pani doktor zaczynała zadanie od początku. Nie żałowała wody. Do mnie mówiła słodko: „Przepraszam, ale jestem nieprzyzwyczajona”. I lała wodą. Cały czas trwania tych praktyk, zaciskałam zęby i żarliwie się modliłam, żeby nie sprać tej „damy”.

Szkolenie u doktor Litwiniukowej trwało cztery razy po dwie doby. Następnie odbyłam miesięczną praktykę w szpitalu Jana Bożego w Lublinie, u świetnego chirurga doktora Kozuchowskiego. Ten wspaniały pedagog miał ciekawy sposób nauczania. Podczas opatrunku mówił półgłosem, niby do siebie. Na przykład: „Przez jałowy gazik peseta wyjmę czop ropny, oczyszczę okolicę rany benzyną..”, albo: „Nie wolno kłaść waty ani ligniny wprost na ranę, nawet najbardziej ropiejącą. Wata zalepi odpływ ropy, przylepiając do rany kłaczki...”. Miałam jeszcze

zajęcia z doktor Oleką - były testy, sprawdziany, odpytywania -wreszcie oceniła krótko: „Jesteście gotowa do służby”. Nie skierowano mnie do oddziału leśnego. Dostałam rozkaz zorganizowania i przeszkolenia patroli sanitarnych. W instrukcji podano opis wnętrza torby sanitarnej, wykaz leków i materiałów opatrunkowych, jakie należy mieć w torbie i gromadzić, a także wymiary noszy.

Z tym przystąpiliśmy do działania. Mietek Panas odkrył źródło „aparatusów”. Aparatus to szczelnie zakręcony pojemnik do przechowywania strzykawki i igieł w alkoholu. Wystarczyło dla wszystkich przeszkolonych dziewczyn. W wymagane medykamenty zaopatrzyła patrol Bronisława Świstakówna, która pracowała w hurtowni aptecznej przy ul. Narutowicza 13. Wykonanie toreb według wymaganego wzoru należało do sanitariuszek, one także gromadziły materiały opatrunkowe. Nosze robił mój ojciec - stolarz (był również wykonawcą zaskakująco pomysłowych skrytek w lokalach konspiracyjnych), a niezastąpiony Mietek Panas, z zawodu ślusarz, dostarczał okuć do nich. Ćwiczyłam po dwie, trzy osoby w różnych pomieszczeniach z zachowaniem wszelkiej ostrożności. Wzorując się na systemie dr Litwiniukowej, unikałam suchych wykładów.

W Lublinie przeszkoliłam sto jedenaście sanitariuszek w wieku powyżej szesnastu lat. Każda z nich przechodziła dwutygodniową praktykę na sali opatrunkowej w jednym ze szpitali lubelskich. Musiały tak się tam zachowywać, żeby nie odróżniono ich od sił fachowych. W listopadzie 1943 r. łączniczka doręczyła mi karteczkę: „Jutro na dziewiątą rano dojechać do Kalinówki, po lewej lasce sosnowy - tam czekać”. Rozterka. Brać opatrunki? Może była jakaś akcja, są ranni - ten lasce mnie zaszokował. Prawie biegłam. Łącznik już czekał. W izbie, do której mnie wprowadzono, zastałam około dwudziestu osób, przygotowane bandaże i uciski. Dowiedziałam się, że mam uczyć udzielanie pierwszej pomocy i przygotowania rannych do transportu. Zmieścić to w trzech godzinach.

Kończyłam zajęcia, gdy oznajmiono mi, że konie czekają i jadę dalej. Byłam zmęczona. Otuliłam się wielkim kożuchem i zaraz zasnęłam. Zajechaliśmy. Ludzie i tam się już zgromadzili. W izbie okna szczelnie zasłonięte. Lampka naftowa, w kominie ogień trzaska. Półmrok. Nastrój tajemniczy, podniosły - jak na obrazach Grottgera. Podobnie w innych punktach szkolenia, których było około ośmiu. Zajęcia odbywały się w izbach chłopskich, salach parafialnych i szkołach, we dworach. Nie informowano mnie gdzie jestem, ja nie pytałam dokąd jadę. Ufna w sprawność organizatorów spałam bez względu na porę doby, w przejeździe, etapami. Uczestniczyłam w kilku takich dwudobowych wyprawach, zawsze świetnie zorganizowanych. Po zakończeniu działań wojennych, wielu ludzi przeszkolonych przeze mnie, trafiło na stałe do Służby Zdrowia.